

Kwestia szczepień przeciw COVID 19

Chrześcijanin nigdy nie powinien aktywnie i bezpośrednio czynić moralnego zła. Nie powinien też aktywnie i bezpośrednio współdziałać z tymi, którzy czynią zło. Te dwie zasady stanowią niezmienny punkt odniesienia dla wielu współczesnych zagadnień etycznych. Jednym z nich są kontrowersje wokół moralnego wymiaru szczepień przeciw pandemii koronawirusa. Nie ulega wątpliwości, że szczepionki same w sobie stanowią wielkie osiągnięcie medycyny prewencyjnej. Dzięki nim istnieje nie tylko możliwość zwalczania choroby, gdy pojawiają się już jej symptomy, ale także możliwość uniknięcia infekcji. Istotnym czynnikiem w tym wypadku jest także to, że zastosowanie szczepionki przeciw koronawirusowi może sprzyjać powrotowi do normalnego funkcjonowania po długim czasie przymusowych, psychicznie trudnych i ekonomicznie dewastujących ograniczeń.

Stąd warto przyrzeć się moralnym zastrzeżeniom, jakie są podnoszone. Mają one różną rangę. Pierwsze dotyczy wyrażonego w mediach podejrzenia, że powszechne szczepienie jest być elementem przejęcia władzy nad lub uzyskania wpływu na większą część ludzkiej populacji przez tych, którzy sfinansowali szczepienia i inne jednostki i gremia, nieposiadające demokratycznej legitymacji. Trzeba przyznać, że to zastrzeżenie przypomina teorię spiskową, chociaż nie ulega wątpliwości, że okoliczności pandemii, jak każda inna sytuacja powszechnego chaosu, mogą być i faktycznie są wykorzystywane przez różne grupy interesów politycznych i gospodarczych dla ich własnych celów. Nic nie wskazuje jednak, by sama szczepionka, poza działaniem zapobiegawczym, miała mieć jeszcze inne, ukryte działanie. Dlatego próbując odpowiedzieć na pytanie o moralny wymiar szczepień przeciw COVID 19, tego typu zastrzeżenia można odsunąć na bok jako drugorzędne.

Poważniejsza jest druga grupa zastrzeżeń. Obawy budzi przede wszystkim pośpiech w dopuszczeniu do obrotu oraz fakt, że szczepionki są na tyle nowatorskie, iż nie sposób w pełni oszacować skutków ich podania. Dla szeregowego pacjenta niepokojącą okolicznością może być też fakt, że firmy produkującym szczepionki przeciw COVID 19 zostały zwolnione z prawnej odpowiedzialności za ich ewentualne skutki uboczne. Odmianą tego zastrzeżenia jest podejrzenie, że szczepienia działają negatywnie na płodność. Nie należy bagatelizować

ewentualnych negatywnych skutków zaszczepienia się. Podanie nie do końca i nie we wszystkich aspektach zbadanej szczepionki trzeba traktowane jako rodzaj medycznego eksperymentu i dlatego szczepienie nie powinno być obowiązkowe. Jednak sam fakt ryzyka nie jest tu niczym nadzwyczajnym. Ryzyko pojawia się niemalże w każdym przypadku poważnej operacji lub nawet zażycia mocnych preparatów leczniczych. Wiele z leków jest aplikowanych, mimo skutków ubocznych, gdyż bez ich zastosowania nie byłoby możliwe wyleczenie jakiegoś schorzenia. Zatem poważne racje, a do takich należy niewątpliwie ochrona najsłabszych i zatrzymanie pandemii, mogą stanowić moralnie dopuszczalną motywację do poddaniu się szczepień, mimo istniejącego ryzyka. Ostatecznie zatem również tego typu zastrzeżenia nie mogą być uznane za decydujące o tym, że użycie szczepionki miało być moralnie niedopuszczalne.

Dla świadomego chrześcijanina najpoważniejsze jest jednak trzecie zastrzeżenie, które odnosi się do sposobu produkcji szczepionek. Chodzi o wykorzystanie w procesie testowania i produkcji linii komórkowych, które zostały kiedyś pozyskane z abortowanych płodów ludzkich (same szczepionki takich komórek nie zawierają). Nie ulega wątpliwości, że katolik nie powinien współdziałać w poważnym moralnym złu, jakim jest aborcja. Pojawia się zatem poważne pytanie, czy i w jakim zakresie używanie wyprodukowanych w ten sposób preparatów byłoby aktem współdziałania w aborcji? Chociaż akurat to konkretne pytanie jest stosunkowo nowe, to jednak należy ono do pytań związanych z konfliktem sumienia, które wielokrotnie pojawiały się także w przeszłości. Katolicy nie żyją przecież na wyizolowanych wyspach zamieszkałych jedynie przez współwyznawców, lecz w społeczeństwie wielowyznaniowym, a czasami bezwyznaniowym i pod rządami osób nie troszczących się zazwyczaj zbyt o respektowanie zasad chrześcijańskiej moralności. W ramach refleksji teologicznomoralnej rozróżniano zawsze między współpracą formalną w złu (*cooperatio formalis ad malum*) z jednej strony oraz współpracą materialną w złu (*cooperatio materialis ad malum*) z drugiej. Ta pierwsza zachodzi wtedy, gdy ktoś popiera zamiar czynienia jakiegoś zła i wyraża to poparcie publicznie (np. poprzez głosowanie za ustawami prawnie sankcjonującymi jakiś zły czyn). Taka forma współdziałania w złu jest zawsze niemoralna. W przypadku współpracy materialnej należy dokonać dalszego rozróżnienia na współpracę materialną bliższą i dalszą. *Bliższa* – to aktywne uczestniczenie w czynieniu zła. Na tyle bezpośrednio, że bez niego to zło nie mogłoby w ogóle zostać dokonane. Również taka forma współpracy w złu jest moralnie niedopuszczalna. Natomiast współpraca materialna *dalsza*

może być moralnie dopuszczalna przy zachowaniu pewnych warunków. Należą do nich np. poważny powód czy też brak alternatywy, która nie nosiłaby znamion współdziałania w złu. W odniesieniu do szczepień przeciw COVID 19 poddanie się szczepieniu nie oznacza współpracy formalnej, jeżeli tylko osoba wyraża jasno swoje stanowisko przeciwne aborcji. Nie jest to także współpraca materialna bliższa, gdyż nie zachodzi ścisły związek między grzechem aborcji, pozyskaniem z tkanek z abortowanych płodów i wykorzystaniem ich do badań naukowych z jednej strony oraz użyciem wyprodukowanych na tej drodze szczepionek z drugiej. Brak ścisłego związku nie polega tu na odległości czasowej (aborcje, z których zostały wytworzone linie komórkowe, użyte potem do badania i testowania szczepionek, zostały przeprowadzone w drugiej połowie XX w.), ale o związek moralny. Można zatem w przypadku poddania się szczepieniu mówić jedynie o jakiejś formie współpracy materialnej dalszej, która nie wiąże się z odpowiedzialnością za grzech aborcji i pod pewnymi warunkami może być moralnie dopuszczalna.

Komisja ds. Bioetyki Episkopatu Polski opublikowała 23 grudnia 2020 r. specjalne oświadczenie dotyczące tego zagadnienia, w którym formułuje warunki godziwości moralnej szczepień. W dokumencie podkreślono, że obecne dylematy moralne są owocem wieloletniego lekceważenia oraz przemilczania sprzeciwu wielu osób zwracających uwagę na wykorzystanie w badaniach nad różnymi specyfikami medycznymi materiału ludzkiego pochodzącego z aborcji. Niewystarczający był także instytucjonalny nacisk na firmy korzystające z tego materiału. Stąd konieczne jest publiczne ponowienie żądania, aby w badaniach naukowych zaniechać wykorzystania ludzkich tkanek pozyskanych w niegodziwy sposób.

Jednocześnie dokument Komisji ds. Bioetyki KEP podkreśla kluczowe znaczenie, jakie w kwestii szczepień przysługuje sumieniu pojedynczego człowieka. Z poczuciem odpowiedzialności za zdrowie swoje i swoich bliskich, ale także z uwzględnieniem wymogów solidarności społecznej, a więc współodpowiedzialności za dobro wspólne, każdy powinien sam zdecydować, czy jest gotów poddać się szczepieniu (nr 18). Ostatecznie jednak uczynienie tego jest moralnie dopuszczalne. Jak stwierdzono w oświadczeniu, „każdy człowiek, w tym katolik, może korzystać ze szczepionek, nawet opracowanych z wykorzystaniem nieetycznie wytworzonych linii komórkowych, jeżeli nie są dostępne inne szczepionki niebudzące takich zastrzeżeń” (nr 15).

Luty 2021

Katolik prezydentem USA?

Nie ulega wątpliwości, że od czasu wyborów nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Joe Bidena, z Ameryki wieje nowy wiatr. Jak się okazuje, dla wszystkich obrońców życia ludzkiego oraz przywiązanych do wartości katolickich, jest to wiatr zdecydowanie niepomyślny. Wśród pierwszych decyzji nowego prezydenta znalazło się anulowanie dyrektyw poprzedniego prezydenta, Donalda Trumpa, wspierających ochronę życia nienarodzonych. Wśród nich było przywrócenie finansowania największych organizacji proaborcyjnych, takich jak np. aborcyjnego giganta Planned Parenthood. Dzięki przywróceniu finansowania ze strony państwa tego typu organizacje będą w stanie zintensyfikować swoją aktywność na skalę globalną. Biden zadeklarował też gotowość powołania do Sądu Najwyższego sędziów, którzy będą działali w myśl słynnego rozstrzygnięcia prawnego *Roe versus Wade* z początku lat siedemdziesiątych XX w. Otworzyło ono drogę do legalnej aborcji na terenie całych Stanów Zjednoczonych przez cały okres ciąży, przewidując jedynie możliwość ograniczenia tego prawa w drugim i trzecim trymestrze ciąży poprzez regulacje w poszczególnych stanach. Poza tym nowy prezydent zadeklarował wprowadzenie sankcji finansowych wobec krajów, które sprzeciwiają się roszczeniom środowisk LGBT. Oczywiście Biden widzi w swoich inicjatywach proaborcyjnych zabezpieczenia „zdrowia reprodukcyjnego”, a w promowaniu postulatów mniejszości seksualnych – ochronę ich podstawowych praw.

Te posunięcia nie są w sumie zaskoczeniem, zważywszy zapowiedzi z kampanii prezydenckiej, ale także w kontekście tego, że Biden powołał na stanowisko wiceprezydenta Kamalę Harris, prawniczkę hinduskiego pochodzenia, znaną ze swojej proaborcyjnej aktywności oraz intensywnego wspierania roszczeń mniejszości seksualnych. Musi jednak dziwić fakt, że Joe Biden deklaruje się jako katolik. W tym kontekście można i trzeba zapytać, czy osoba, która nie tylko wyznaje poglądy radykalnie sprzeczne z kluczowymi normami moralnymi powiązanymi z wiarą katolicką, ale także aktywnie podejmuje strategiczne decyzje promujące te poglądy, może określać siebie wiarygodnie jako katolik?

Biden zdaje się być zwolennikiem dosyć popularnego współcześnie stanowiska, że wiara jest sprawą prywatną. Stanowi ona coś w rodzaju osobistego kolorytu każdego człowieka, który jednak nie powinien w żaden sposób wpływać na jego aktywność publiczną. Przywołując klasyczne dictum, katolik powinien zostawić swoje sumienie w przedsionku swojego urzędowego gabinetu. W myśl tej koncepcji wolno mu oczywiście kierować się zasadami swojej wiary, ale jedynie w przestrzeni prywatnej i w tym, co odnosi się bezpośrednio do zbawienia. Jednak w przestrzeni publicznej musi odłożyć swoje, płynące z wiary przekonania, również moralne i zachować „neutralność”. Ta ostatnia jest zazwyczaj definiowana w taki sposób, że w końcowym rozrachunku poglądy takiego katolika będą się pokrywały z przekonaniem ateistów i agnostyków. Ludzie nie odwołujący się do Boga mogą zatem w przestrzeni publicznej czuć się jak u siebie, wierzący natomiast muszą udawać, jakby nimi nie byli i stwarzać wrażenie, że wiara nie ma ostatecznie wpływu na ich decyzje moralne i sposób życia.

Taka koncepcja jest w sposób oczywisty karykaturą wiary katolickiej. Próba wypchnięcia konsekwentnych katolików z życia publicznego, a jednocześnie użycia określenia „katolik” jako listka figowego służącego do ukrycia postępującej ateizacji przestrzeni publicznej, musi spotkać się ze sprzeciwem. Narusza bowiem jedną z fundamentalnych zasad państwa prawa, jaką jest wolność sumienia i wyznania. Tak, jak ateści i agnostycy, pełniący urzędy publiczne, mają prawo do inicjowania i popierania takiego ustawodawstwa, które – ich zdaniem – służy dobru wspólnemu, tak samo muszą mieć do tego prawo również ludzie wierzący. Neutralność na pewno nie może polegać na promowaniu podwójnych standardów.

W jednym z wywiadów udzielonych w 1986 r. przez kard. Josepha Ratzingera, ówczesnego prefekta watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary, postawiono mu pytanie, czy nie należałoby ograniczyć wymogu jedności w Kościele katolickim jedynie do kwestii ściśle dogmatycznych, natomiast cała sfera moralności czy nie powinna pozostać w gestii sumień poszczególnych ludzi, co dopuszczałoby szeroką paletę stanowisk. Ratzinger stwierdził, że wspólna praktyka życia jest tak samo ważna, jak wspólne prawdy wiary. „Istotną częścią chrześcijańskiej Tradycji jest pewność, że na przykład aborcja, rozwód lub homoseksualizm – nawet jeśli można dokonać tutaj tysięcy rozróżnień – są aktami sprzecznymi z wiarą chrześcijańską”.

Katolik, który zaczyna wyznawać poglądy moralne w jaskrawy sposób sprzeczne z zasadami wiary katolickiej popada w rodzaj duchowej schizofrenii i żyje w ostrym konflikcie ze

swoją wspólnotą kościelną. Generalnie można chyba stwierdzić, że nowy amerykański prezydent jest w takim samym stopniu wiarygodnym katolikiem, jak wiarygodnym wegetarianinem jest osoba, której ulubionym daniem są krwiste befsztyki.

Marzec 2021

Post od... trosk

Wielki Post jest czasem, w którym wielu ludzi – nawet tych nieszczególnie religijnych – przypomina sobie o konieczności zachowania właściwej miary. Spod tej sterty rzeczy, doznań, wrażeń, korzyści i przyjemności, które się nazbierały w życiu, trzeba się wreszcie jakoś wydobyć. Gdy je gromadzimy, nie zwracamy uwagi na to, że potrafią się kumulować, potrafią urosnąć do rangi poważnej przeszkody w rozwoju duchowym. Orientujemy się dopiero wtedy, gdy jest ich zbyt wiele, gdy stają się obciążeniem.

Chrześcijanie wiedzieli o tym zawsze, dlatego też zwyczaj poszczenia, czyli odmawiania sobie tego, co przy zachowaniu właściwej miary jest dobre, należy do istotnych praktyk duchowości chrześcijańskiej. Taka praktyka może ponownie przywrócić człowiekowi wolność. Wśród świętych nie brak osób oddanych surowej pokucie. Niektóre ich praktyki są dzisiaj trudne do zrozumienia. Inne wydają się nie tylko przesadzone, ale nawet szkodliwe. Inne znowu zdają się pochodzić z wykrzywionego nastawienia do rzeczywistości ziemskiej, która sama w sobie nie jest po prostu złem, gdyż odzwierciedla mądry i dobry plan Stwórcy. Plan ten jest wprawdzie naznaczony piętnem grzechu pierworodnego, nawet ta okoliczność nie jest jednak w stanie zniwelować jego fundamentalnej dobroci. Po zastosowaniu gęstego sita, dzięki któremu zostaną odsiane praktyki i nastawienia niezrozumiałe i niewłaściwe, pozostaje mocny impuls do podjęcia postu, do ograniczenia lub nawet czasowej rezygnacji z czegoś, co w sumie nie jest złe, ale w czym trudno jest nam zachować umiar.

Ciekawie mówi na ten temat Jezus w Ewangelii Łukaszej (21, 34): *Uważajcie na siebie, aby wasze serca nie były ociążane wskutek obżarstwa, pijaństwa i trosk doczesnych.* Z właściwą sobie otwartością Jezus nazywa obszary, które zazwyczaj dotknięte są wadą nieumiarkowania. Brak miary w jedzeniu i picu może odbić się fatalnie na zdrowiu – to wszyscy wiemy. Ale jest w tych słowach Jezusa coś, czego przy powierzchownej lekturze tego tekstu

nie dostrzegamy. Najpierw warto zwrócić uwagę na efekt nadmiaru konsumowania. Gdy Jezus mówi o ociążałym sercu, z pewnością nie nawiązuje do kategorii medycznych. „Serce” jest w Ewangeliach ekwiwalentem sumienia, tego najgłębszego wymiaru naszej samoświadomości, w którym powstają nasze najskrytsze marzenia, układane są nasze życiowe plany i wreszcie podejmowane są nasze życiowe decyzje. Serce to po prostu sumienie. Ociążałe sumienie – to sumienie nieskore i niezdolne do podejmowania życiowych wyzwań, niechętnie do oceny rzeczywistości w kategoriach dobra i zła. Ociążałe sumienie nie prowadzi już człowieka, ale jedynie pasywnie reaguje na to, co się wydarza, przy czym te jego reakcje bywają nierzadko rozmyte i wykrzywione. Nadmierna konsumpcja szkodzi nie tylko zdrowiu ciała, ale prowadzi do duchowej kapitulacji i niemocy.

Jest jeszcze inny wątek, o którym mówi Jezus: obok obżarstwa i pijaństwa jako sprawców ociążałego serca, dodany zostaje trzeci element, który – trzeba przyznać – brzmi dosyć dziwnie: troski doczesne. Jezus zapewne nie ma tu na myśli tych zwyczajnych trosk, dzięki którym możemy ogarnąć naszą codzienność. Bez rozsądnego planowania naprzód, bez racjonalnej kalkulacji przychodów i wydatków, bez odrobiny długofalowego planu, w życiu pojawia się chaos. Stąd takie troski, chociaż doczesne, mogą się okazać niezbędne. Ale jest wiele takich, które są zbędne, a do tego potrafią być mocno destrukcyjne. Sytuacja pandemii każe nam troszczyć się o siebie i naszych bliźnich – i dopóki zachowujemy w tym rozsądek, jest to dobra troska. Ale sytuacja ta sprawia także, że wkrada się w serce głęboki lęk o przyszłość. To jest troska, która bardzo szybko ogarnia całą naszą świadomość, zagarnia nasze siły i czas. Wyobrażenia podpowiada nam nieustannie nowe scenariusze przyszłości, przy czym lęk każe skłaniać się bardziej do tych katastroficznych. Źródłem natrętnej troski mogą też być konsumowane bez umiaru informacje medialne. Bardzo wiele z nich ma krótki żywot – są czasami nieprawdziwe, często niepełne, tendencyjne i wyolbrzymione, ale emocje, które potrafią wzbudzić, żyją już znacznie dłużej. Uczucia lęku, frustracji, przygnębienia, wściekłości, niechęci, nieżyczliwości i zazdrości, potrafią całkowicie zdominować życie. Stają się wtedy dokładnie takimi doczesnymi troskami, o których mówił Jezus. Nie pozwalają sumieniu prowadzić człowieka w codzienności, gdyż czynią je ociążałym.

Wielki Post powinien być więc nie tylko postem od nadmiaru jedzenia i picia, np. od słodczy i alkoholu (co nie jest nieważne!), ale także postem od nadmiernych trosk. A w związku z tym, być może także postem od nadmiernego korzystania z mediów. Bóg chce nas obdarzyć swoim pokojem także w tym niełatwym czasie pandemii...

A myśmy się spodziewali...

Tym, co rzuca się w oczy w opisach ukazania się Zmartwychwstałego, jest ten mentalny szablon, zgodnie z którym funkcjonują umysły Apostołów i przyjaciół Jezusa. Najlepiej jest to widoczne w opowiadaniu o uczniach idących do Emaus (Łk 24, 13-35). Uczniowie sprawiają wrażenie, jakby na dobre pogodzili się z tym, że śmierć Jezusa jest i pozostanie niezmiennym faktem i w związku z tym ich przygoda z Nim ostatecznie się skończyła. Rozsądek nakazuje, by zorganizować sobie „życie po Jezusie”. I w sumie trudno mieć im to za złe. Tak zareagowałby w ich sytuacji każdy, kto po początkowym szoku wskutek wydarzeń Wielkiego Piątku, zaczyna powoli myśleć o swoim dalszym życiu i próbuje je sobie na nowo urządzić.

W rozmowie z Nieznajomym, którego idący do Emaus uczniowie nie są w stanie rozpoznać, ujawnia się stan ich umysłów. Obydwaj są zgodni co do tego, że Jezus z Nazaretu był kimś niezwykłym. Określają go jako wielkiego proroka, wyróżniającego się niezwykłymi czynami i jeszcze bardziej niezwykłym nauczaniem. Jednocześnie jednak nie są w stanie ukryć swego rozczarowania. To „więcej”, czego się spodziewali, nie spełniło się i – tego są całkowicie pewni – już się nie spełni. Jezus z Nazaretu należy do przeszłości: ich osobistej przeszłości, o której będą opowiadać jeszcze przez wiele lat, ale też do przeszłości świata, która poprzez Jego śmierć została ostatecznie zamknięta. Właśnie ta pewność ostatecznej porażki Jezusa i Jego nauki stała się dla tych dwóch uczniów czymś w rodzaju ich prywatnego dogmatu; swego rodzaju myślowym całunem, kluczem interpretacyjnym, który od tej pory będzie decydował o sposobie rozumienia zarówno przeszłych, jak i teraźniejszości. Ich umysły są do tego stopnia pogrążone w rozczarowaniu, że nawet wiadomość o tym, że On żyje, nie robi na nich większego wrażenia. Nie tylko nie czują potrzeby, by sprawdzić prawdziwość informacji o zmartwychwstaniu dostarczonej przez kobiety, ale traktują ją jako coś przerażającego. Wieść o zmartwychwstaniu Jezusa narusza ich prywatny dogmat, zgodnie z którym o wiele bardziej racjonalnie jest myśleć o Nim jako o zmarłym. Ich nowy, naznaczony rezygnacją i rozczarowaniem klucz interpretacyjny stanowi skuteczną zaporę nawet dla słów samego Jezusa, który towarzysząc im w drodze do Emaus próbuje wyjaśniać sens odnoszących się do

Niego dawnych prorocत्व. Dopiero Jezusowy gest łamania chleba rozdziera zastonę, w jaką spowite były ich umysły.

Podobny schemat wyłania się z lektury opisów ukazania się Zmartwychwstałego Marii Magdalenie. Ona także ma swój prywatny dogmat: ktoś wykradł ciało Jezusa i należy dowiedzieć się, kto to mógł zrobić. Również w jej przypadku Zmartwychwstały musi niejako od zewnątrz rozbić ten schemat, który uniemożliwia spotkanie z Nim w nowy sposób. Jezus czyni to, nie jak w przypadku uczniów w Emaus, przez gest, ale poprzez słowo, wypowiadając jej imię.

Paradoksalnie właśnie ta tak jaskrawo widoczna w ewangelicznych opisach niemożność przyjęcia nowiny o zmartwychwstaniu czyni je tak wiarygodnymi. Jest w tych opisach jednak także ostrzeżenie, które odnosi się do wierzących wszystkich czasów. Codziennosc jest w stanie niepostrzeżenie wytworzyć w nas nasze prywatne klucze interpretacyjne, spowić nasze umysły całunem, którzy może stać się skuteczną przeszkodą w przyjęciu prawdy o zmartwychwstaniu Jezusa. I jak w przypadku uczniów zmierzających do Emaus, prawda o zmartwychwstaniu Chrystusa może być wprawdzie obecna w naszym umyśle, jednak nie odgrywać żadnej roli w naszej codzienności. Może być czymś w rodzaju pobożnego sloganu, który należy do naszego duchowego „umeblowania”, ale nie ma żadnego wpływu na nasze codzienne wybory. Można żyć Chrystusem jako przeszłością, wspomnieniem. Pokusa takiego podejścia jest szczególnie silna w takich czasach, jak czasy pandemii. Ta ponura rzeczywistość, trwająca już wiele miesięcy, wydaje się całkowicie rządzić światem i życiem poszczególnych ludzi, odsuwając perspektywę wiary na dalszy plan.

Tymczasem prawda o zmartwychwstaniu Chrystusa dopiero wtedy rozbłyśnie swoim prawdziwym blaskiem, jeśli zacznie pulsować w teraźniejszości, jako najistotniejszy czynnik naszej samoświadomości i naszych codziennych wyborów. Wtedy rozerwane zostają oplatające umysł całuny, rozbite zostają wykrzywione klucze interpretacyjne i pełne rezygnacji prywatne dogmaty. To właśnie one sprawiają, że człowiek skłania się ku temu, by urządzić się w życiu tak, jakby zmartwychwstanie Chrystusa należało wyłącznie do przeszłości.

W spontanicznej homilii wygłoszonej w Niedzielę Paschalną 2021 papież Franciszek powiedział: *Siostry i bracie, pomyślmy trochę, każdy z nas niech pomyśli o swoich problemach, o chorobach, które przeszedł i o tych, które ktoś z twoich bliskich teraz przeżywa, o wojnach, o ludzkich nieszczęściach. I po prostu, pokornym głosem, bez tych kwiatów, jedynie przed Bogiem*

i wobec samego siebie powiedz: nie wiem, jak się to potoczy i skończy, ale jestem pewien, pewna, że Chrystus zmartwychwstał i na to stawiam wszystko!

Kwiecień-2 2021

Nieetyczne eksperymenty na ludzkich płodach w Olsztynie?

Doniesienia o rzekomych nieetycznych eksperymentach na ludzkich płodach dokonywanych na terenie Oddziału Ginekologiczno-Położniczego Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Olsztynie pod nadzorem prof. Wojciecha Maksymowicza, wzbudziły niepokój opinii publicznej. Chodzi o rzekome uśmiercanie ludzkich płodów w celu pobrania komórek macierzystych. Jak wynika z doniesienia złożonego przez działacza pro-life, Mariusza Dzierżawskiego, w ramach procedur eksplantacyjnych otwierano bez znieczulenia konającym płodom czaszki oraz rdzeń kręgowy w celu pobrania materiału tkankowego przeznaczonego do dalszych badań. Tak dramatyczny opis wywołuje wstrząs i budzi uzasadnione oburzenie. Czy jednak zarzuty te są rzeczywiście prawdziwe? Zanim szczegółowe dochodzenie wyjaśni zaistniałe wątpliwości, warto wskazać na etyczne zasady dotyczące pobierania i wykorzystania materiału pochodzenia płodowego.

Z medycznego punktu widzenia pobieranie tkanek embrionalnych i płodowych bywa uzasadniane potencjałem terapeutycznym embrionalnych/płodowych komórek macierzystych. Nadzieje związane z możliwościami zastosowania płodowych komórek macierzystych w leczeniu wielu chorób, szczególnie neurodegeneracyjnych, są tak wielkie, że próbuje się nimi etycznie uzasadniać wykorzystywanie do tego celu embrionów nadliczbowych pozostałych w wyniku zapłodnienia in vitro bądź też płodów poddanych aborcji. Takie procedury są oczywiście jednoznacznie nieetyczne. Żadne nadzieje czy korzyści terapeutyczne nie są w stanie uzasadnić bezpośredniego uśmiercenia niewinnej istoty ludzkiej. Istnieją jednak sposoby pozyskania embrionalnych i płodowych komórek macierzystych, które nie budzą tego typu zastrzeżeń etycznych. Należą do nich eksplantacje tkanek z embrionów i płodów zmarłych wskutek spontanicznych poronień. Nie ulega wątpliwości, że konieczna jest w tej kwestii daleko idąca staranność w refleksji etycznej, jednak nie oznacza to całkowitego zanegowania etycznej dopuszczalności tego typu procedur. Zob. szczegółową refleksję na ten

temat: <https://machinek.pl/wp-content/uploads/2020/10/2017.-Wykorzystanie-komorek-macierzystych-pochodzenia-plodowego.-Aspekty-etyczne.pdf>

Zawarta w powyższym doniesieniu supozycja, iż dzieci były w trakcie pobierania tkanek konające, a więc faktycznie jeszcze żyjące, jest oczywiście niepokojąca. W takim przypadku mielibyśmy do czynienia z godnym potępienia zabójstwem niewinnej istoty ludzkiej w bardzo odrażającej formie. Umierający człowiek nigdy nie może być traktowany jako materiał biologiczny, niezależnie od tego, w jakim stadium rozwojowym się znajduje, jak bliska i nieuchronna jest jego śmierć i jak wielkie są nadzieje związane z pobraniem jego tkanek. W przypadku natomiast, gdyby tkanki pobrano po stwierdzeniu śmierci, chodziłoby o procedurę analogiczną do każdej innej eksplantacji organów czy tkanek od zmarłego dawcy. Z etycznego punktu widzenia pobranie tkanek ludzkiego płodu, zmarłego w łonie matki bądź też wskutek spontanicznego poronienia, nie różni się od pobrania tkanek i organów od każdego martwego dawcy. Warunkiem brzegowym godziwości procedury eksplantacyjnej jest to, że pobranie organów nie powoduje śmierci dawcy, a więc następuje po jej stwierdzeniu. Innymi słowy, jak to w 2008 r, sformułował ówczesny papież Benedykt XVI, jest ono pobraniem tkanek lub narządów *ex cadavere*, a więc ze zwłok. Nie ulega wątpliwości, że istotnym czynnikiem w całej sprawie może być tocząca się dyskusja na temat kryteriów umożliwiających uznanie człowieka za martwego. Kto neguje godziwość eksplantacji organów i tkanek od dawców dorosłych w oparciu o kryterium śmierci mózgowej, które jest nie tylko powszechnie uznane w medycynie, ale także – pod warunkiem restrykcyjnej dokładności i rzetelności medycznej – zaakceptowane przez Magisterium Kościoła katolickiego, ten zapewne będzie także kwestionował możliwość wiarygodnego stwierdzenia śmierci ludzkiego płodu. Kluczowe pytanie dotyczy zatem tego, na jakiej podstawie oskarżyciele prof. Maksymowicza formułują tezę o tym, że poronione dzieci w chwili eksplantacji ich tkanek były konające, a nie martwe.

Sam prof. Maksymowicz zdecydowanie zaprzecza stawianym zarzutom, stwierdzając, że ani on, ani jego zespół nigdy nie prowadził eksperymentów na żywych płodach ludzkich. Swoje poparcie dla ochrony życia i sprzeciw wobec aborcji prof. Maksymowicz formułował wielokrotnie w przeszłości, stąd do czasu wyjaśnienia stanu faktycznego nie ma podstaw, by kwestionować wiarygodność jego obecnych wypowiedzi.

Pozostaje pytanie, które również trzeba zadać: na ile sformułowane zarzuty oparte są na rzetelnej wiedzy o nadużyciach – wtedy byłyby jak najbardziej uzasadnione –, a na ile bazują na przypuszczeniach i domniemaniach oraz dyskusji na temat kryteriów śmierci. Ignorowanie

wspomnianych wyżej rozróżnień w tej materii, w imię rzekomej jednoznaczności i klarowności przekazu, może się okazać tak samo szkodliwe dla sprawy ochrony życia, jak uchylanie się przed jednoznacznym stanowiskiem na rzecz prawa do życia dzieci poczętych.

Maj 2021

Jeszcze o szczepionkach

Sporą dyskusję medialną i niepokój wielu wierzących katolików wzbudziło najnowsze oświadczenie przewodniczącego Zespołu ds. Bioetyki Konferencji Episkopatu Polski, bp. prof. Józefa Wróbla z 14 kwietnia 2021 r. dotyczące szczepionek. Wypowiedź ta może być potraktowana jako dopowiedzenie do stanowiska członków tego zespołu z 23 grudnia 2020 r. W najnowszym oświadczeniu wskazuje się na różnicę między różnymi rodzajami szczepionek, jeśli chodzi o ich związek z liniami komórkowymi pochodzącymi z ludzkich płodów poddanych aborcji w latach sześćdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. O ile w szczepionkach firm Pfizer i Moderna linie te były wykorzystywane jedynie do testowania wpływu na ludzką tkankę, to w szczepionkach wyprodukowanych przez firmy AstraZeneca oraz Johnson & Johnson linie te stanowią niezbędne ogniwo technologii wytwarzania. W szczepionkach tych nie znajdują się wprawdzie żadne komórki pochodzące z tych linii, jednak zostały one użyte do namnażania zmodyfikowanego adenowirusa, który jest nośnikiem genów replikujących fragmenty wirusa SARS-CoV2 (białko kolca), a te ostatecznie wywołują odpowiedź immunologiczną organizmu.

Zastrzeżenia moralne wobec tych dwóch ostatnich szczepionek są zatem poważniejsze. Stąd, jeżeli istnieje wybór, wierzący katolik powinien, jak sugeruje oświadczenie, wybierać inne szczepionki. Mimo tego jednak, w sytuacji gdy okoliczności, np. obowiązki związane z dobrem wspólnym (np. liczne kontakty z innymi ludźmi) skłaniają do poddania się szczepieniu, a nie ma możliwości wyboru, może on także sięgnąć po preparaty, które budzą poważniejsze zastrzeżenia moralne.

Jak wskazuje wiele głosów krytycznych, nowe oświadczenie przewodniczącego Zespołu ds. Bioetyki KEP, opublikowane w takiej właśnie formie, wywołało efekt dokładnie odwrotny do zamierzonego. Po tym, jak bp Wróbel, komentując krytyczne reakcje, pokreślił, że nie miał

zamiaru zniechęcać do szczepień, w dyskusji publicznej pojawiło się pytanie, któremu warto się bliżej przyjrzeć, gdyż właśnie ono zdaje się stanowić samo sedno problemu: Skoro ostatecznie samo zaszczepienie się nie jest naganne z moralnego punktu widzenia, to po co wierzący katolik miałby w ogóle interesować się pochodzeniem i rozróżnianiem szczepionek? Czy nadzieje, że szczepienia mogą efektywnie przyczynić się do wygaśnięcia pandemii oraz zmniejszyć ryzyko transmisji wirusa, a przez to – przynajmniej w jakimś stopniu – ochronić zarówno przyjmującego szczepionkę, jak i jego otoczenie, już same w sobie nie usprawiedliwiają przyjęcia jakiegokolwiek szczepionki, niezależnie od tego, jak byłaby wytworzona? Z punktu widzenia teologii moralnej odpowiedź może być tylko jedna: Nie! Nie, bo nawet najbardziej szczytny cel nie usprawiedliwia sam z siebie moralnie złych środków. Owszem, pragnienie ochrony zdrowia swojego i innych i działanie na rzecz wygaśnięcia pandemii są bardzo istotnymi aspektami i muszą być brane pod uwagę, ale tak samo istotne jest pytanie o to, jakim kosztem chcemy osiągnąć niewątpliwie dobre cele?

Podniesione w oświadczeniu bp. Wróbla zastrzeżenia nie dotyczą jedynie obecnej sytuacji szczepień. Prawdziwym problemem są tu bowiem nie tyle same szczepionki, ile towarzyszące ich producentom i propagatorom przekonanie, że dobry cel może unieważnić wszelkie zastrzeżenia moralne związane ze środkami, jakimi się człowiek posługuje. Przyczyną sięgania przez producentów wielu szczepionek (jak się okazuje nie tylko tych przeciw COVID 19; używa się ich także w ramach wielu projektów badawczych) po linie komórkowe pochodzące z aborcji, jest to, że są one szeroko dostępne, sprawdzone, i zaaprobowane przez różne instancje kontrolne. Linie te są używane właśnie dlatego, że naukowcy potrzebują materiału jak najbardziej efektywnego i wydajnego, a młode komórki ludzkie spełniają te wymagania w optymalny sposób. Jednak, jak się okazuje, wytworzenie wydajnych i stabilnych linii komórkowych wcale nie musi się wiązać z aborcją. Podstawowe pytanie brzmi więc następująco: W jaki sposób można skłonić firmy odpowiedzialne za dystrybucję tego rodzaju materiału komórkowego, ośrodki z niego korzystające i odpowiedzialnych za politykę zdrowotną, by została stworzona alternatywa, która nie będzie budziła zastrzeżeń etycznych? Jak w wielu innych dziedzinach współczesnego życia, jedną z najbardziej skutecznych dróg są wybory konsumenckie tych, którzy korzystają z efektów badań naukowych, czyli świadome decyzje preferencyjne promujące produkty nie budzące wątpliwości moralnych.

We wspomnianym powyżej stanowisku Bp. Wróbel wskazuje na moralny obowiązek przyjmujących szczepionkę wytworzoną w sposób budzący moralne zastrzeżenia, by

manifestowały „swoją stanowczą sprzeciw wobec wykorzystania materiału biologicznego mającego niemoralną genezę w produkcji tej szczepionki, aby nie zostały uznane za popierające w sposób pośredni aborcję”. Nie ulega wątpliwości, że jednym z powodów, dla których świat przyjmuje coraz bardziej nieewangeliczny kształt jest pasywność wierzących w Chrystusa. Wielu z nich traktuje kierunek przemian, jakie się dokonują, z taką samą rezygnacją, z jaką traktuje się pogodę: gdy leje, to nie wypada protestować, bo i tak nie da się nic zrobić. Jest to błąd, który ma swoje poważne konsekwencje. Właśnie wybory konsumenckie stanowią niezwykle czytelną manifestację postawy wierzącego katolika. Owszem, w wielu sytuacjach wybór może być mocno ograniczony, jednak w szeregu innych istnieje i może stać się wkładem w kształtowanie życia społecznego w taki sposób, aby wierzący nie musieli być konfrontowani na poziomie systemowym z takimi dylematami moralnymi, jak ten związany ze szczepionkami. Gdyby katolicy jednoznacznie opowiedzieli się za nie budzącymi moralnych wątpliwości szczepionkami, byłby to czytelny sygnał na przyszłość dla producentów środków leczniczych i politycznych decydentów.

Czerwiec 2021

Czy jest to ważne, by wierni powrócili do kościołów?

Kiedy patrzy się na ostatnie kilkanaście miesięcy nie tylko z perspektywy indywidualnej, ale także z perspektywy wspólnoty Kościoła, to trzeba stwierdzić, że jednym z bolesnych skutków pandemii jest znaczny spadek tzw. dominantes, czyli osób regularnie uczęszczających na Mszę św. niedzielą. Trudno się zatem dziwić, że pasterze Kościoła zwrócili uwagę na tę sprawę. Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, Arcybiskup Stanisław Gądecki, wezwał duszpasterzy do intensywnej troski o to, by wierni na nowo powrócili do zwyczaju uczestniczenia w niedzielnej Eucharystii, natomiast decyzją Konferencji Episkopatu Polski z dniem 20 czerwca 2021 r. zostały we wszystkich diecezjach w Polsce jednocześnie zniesione dyspensy od uczestniczenia w niedzielnej Eucharystii, udzielone wiernym na czas pandemii.

Katolicy przez wieki cenili sobie niedzielą Eucharystię w szczególny sposób. Owszem, stanowiła ona centralny element tradycji, przekazywany z pokolenia na pokolenie. Ale była

także niezwykle cennym skarbem, za wierność któremu wielu nie wahało się cierpieć, a niektórzy byli nawet gotowi oddać życie. W soborowej konstytucji o liturgii Sacrosanctum concilium określono liturgię, szczególnie Eucharystię, jako szczyt, do którego zmierza cała działalność Kościoła i zarazem źródło, z którego wypływa jego moc (SC 10). Bez niedzielnej Eucharystii i zgromadzonej w świątyni w Dzień Pański wspólnoty, w której pod przewodnictwem wyświęconego kapłana celebrowana jest Eucharystia, życie religijne albo się wyradza w jakąś roszczeniową formę duchowości indywidualistycznej, albo zamiera zupełnie i szybko jest zastępowane przez różne formy aktywności kulturowej, dające iluzję poważnego życia duchowego. Stąd też Kodeks Prawa Kanonicznego podkreśla obowiązek każdego dorosłego katolika, by w niedzielę i święta nakazane uczestniczyć we Mszy św. Niedzielną Eucharystia zawsze była i pozostaje nadal kluczowym elementem katolickiej tożsamości. Sprawa wydaje się więc oczywista i nie wymagająca wyjaśnienia.

Mimo to wezwanie arcybiskupa Gądeckiego do powrotu do kościołów zostało ostro skrytykowane. Przewodniczącemu Konferencji Episkopatu Polski zarzucono, że dba jedynie o interes instytucji, a rozmija się z potrzebami wiernych; że stara się utrzymać status quo, zamiast rozpocząć na nowo w zupełnie inny sposób; że pokazał oblicze odrealnionego Episkopatu, który w posłusznym uczęszczaniu na niedzielną Eucharystię widzi jedyną miarę kondycji Kościoła w Polsce. Jeden z prominentnych kaznodziejów internetowych, o. Adam Szustak, okazał swoje oburzenie w tej kwestii w szczególnie wyakcentowany sposób, nie stroniąc od nonszalancji i – delikatnie mówiąc – dosyć pospolitego języka.

Gdyby bardzo chciało się widzieć w tej krytyce jakieś ziarno prawdy, można by stwierdzić, że praktyka niedzielnej Eucharystii jest w pełni owocna jedynie dla kogoś, kto żyje wiarą na co dzień, kto – mówiąc żargonem medialnych kaznodziejów – jest już zewangelizowany i wybrał Chrystusa jako swojego osobistego Zbawcę i Pana. W przeciwnym razie staje się mniej czy bardziej uświadomionym rytuałem. Trudno zaprzeczyć, że dotychczas „chodzenie do kościoła” było wprawdzie u wielu wiernych odziedziczonym zwyczajem, jednak nie stało się potrzebą serca. Czas pandemii boleśnie ujawnił tę powierzchowną motywację. Dla myślących w ten sposób już nie wielkie supermarkety, publiczna komunikacja, miejsca rozrywki i prywatne imprezy, ale właśnie kościoły stały się miejscami szczególnie niebezpiecznymi, w których człowiek może z bardzo dużym prawdopodobieństwem może zarazić się koronawirusem.

Czy jednak krytykowania wezwania do powrotu do kościołów jest właściwą drogą? Zniechęcanie wierzących do niedzielnej Eucharystii jest w praktyce odcinaniem ich od źródła duchowej mocy. Nawet jeżeli są to ludzie, którzy uczęszczali na Mszę św. jedynie z tradycji, to przecież słowo Boże, słuchane co tydzień, może kiedyś trafić do ich serc i umysłów. Wielu z nich nie daje sobie żadnej innej okazji, by słowo Boże mogło pojawić się w ich świadomości. Jeżeli się bagatelizuje wezwanie do odnowienia zwyczaju uczęszczania na niedzielną Eucharystię, to co daje się im w zamian? Gdzie ludzie o być może powierzchownej i nieugruntowanej wierze mają usłyszeć Boże słowo? Czy w miejsce niedzielного zgromadzenia liturgicznego mają raczej codziennie odwiedzać internetowe kapliczki swoich ulubionych kaznodziejów, którzy informują ich, co akurat zjedli i wypili, dlaczego czują się dobrze lub kiepsko i że właśnie zatankowali samochód?

Dla wielu ta krytyka wezwania biskupów do powrotu do kościołów będzie jednoznaczna z bagatelizowaniem niedzielnej Eucharystii i dlatego jest ona fatalnym błędem. Oczywiście wraz ze skierowanym do wiernych wezwaniem do powrotu do niedzielnej Eucharystii, trzeba skierować apel także do kapłanów, by niedzielna Eucharystia zawsze była starannie przygotowana i ze czcią odprawiana. Wierni mają nie tylko obowiązek przychodzenia na niedzielną Eucharystię, ale też niezbywalne prawo do świętowania jej w czystym i zadbanym kościele. Mają też prawo do godnej atmosfery celebracji, ale przede wszystkim mają prawo do starannie przeczytanego i wyłożonego słowa Bożego. I nie chodzi tu wcale o uczone homilie, ale o refleksję zrodzoną z dokonanej przez celebransu uważnej lektury i przemodlenia słowa Bożego. To o wiele ważniejsze, niż udziwnianie liturgii elementami własnego pomysłu. Ostatecznie więc może ta ostra kontrowersja przyczyni się do większego docenienia tego daru i przywileju, jakim jest uczestniczenie w niedzielnej Eucharystii – już nie wirtualnie, ale osobiście?

Lipiec 2021

Raport Maticia

W czerwcu 2021 Parlament Europejski zatwierdził projekt rezolucji opartej na raporcie, nazwanym imieniem jego autora, pochodzącego z Chorwacji socjalistycznego

eurodeputowanego, Predraga Freda Maticia. Raport Maticia jest kolejną w ostatnich latach próbą podniesienia do rangi praw człowieka jednego z takich klasycznych lewicowych roszczeń, jak aborcja na życzenie, powszechny, gwarantowany i refinansowany dostęp do antykoncepcji czy też legalizacja małżeństw jedнопłciowych. To, co jest w nowym w tym raporcie, dotyczy nie tylko nobilitacji indywidualistycznych uprawnień, ale także prawnego wyrugowania możliwości sprzeciwu wobec nich. Bezpośrednio i już bez żadnych upiększeń, raport uderza w dwie fundamentalne wartości: w prawo do życia nienarodzonych oraz prawo każdego obywatela do wolności sumienia.

W raporcie Maticia aborcja zostaje określona jako fundamentalne uprawnienie w ramach ochrony tzw. zdrowia reprodukcyjnego i seksualnego i zostaje podniesiona do rangi prawa człowieka. Roszczenie to nie jest nowe, gdyż było formułowane wielokrotnie w ostatnich dwóch dziesięcioleciach. Powtarzanie go jednak i wielokrotnie uchwalanie przez ponadnarodowe instytucje w ramach coraz to nowych rezolucji i rekomendacji wywołuje wrażenie ogólnie przyjętego przekonania, które odpowiada rzekomo współczesnym standardom praw człowieka i przez to wzmacnia nacisk na rządy poszczególnych krajów. Okazuje się jednak, że określenie aborcji jako prawa człowieka jest niezgodne nie tylko z ustawodawstwami, które mocno ograniczają legalną aborcję, jak np. prawo Rzeczypospolitej Polskiej, ale nawet z legislacjami liberalnymi obowiązującymi w wielu krajach zachodnich, np. w Niemczech. Uzasadnienie dopuszczalności aborcji bynajmniej nie opiera się tu na domniemanym prawie do niej. Aborcja zostaje w pewnych ramach dopuszczona, jednak pozostaje czynem niezgodnym z prawem (*rechtswidrig*). Ustawodawca w jej przypadku jedynie powstrzymuje się od wymierzania sankcji (*straffrei*). Paradoksem jest to, że w raporcie Maticia prawem człowieka określono coś, co w wielu krajach europejskich jest niezgodne z obowiązującym prawem, chociaż nie karane ze względu na – jak to się określa – szczególne okoliczności związane z niechcianym macierzyństwem.

W myśl raportu Maticia państwa członkowskie powinny nie tylko zadbać o zapewnienie legalności aborcji w ramach obowiązującego prawa, ale także jej powszechnej dostępności i finansowania jako świadczenia zdrowotnego. Oznacza to w praktyce, że nikt – nie tylko instytucje (szpitale), ale także jednostki – nie będzie mógł odmówić realizacji tego świadczenia, powołując się na sprzeciw sumienia. W ten sposób w praktyce możliwe będzie skuteczne eliminowanie jakiegokolwiek sprzeciwu. Każdy, kto sprzeciwi się aborcji, może zostać oskarżony nie tylko o odmowę podstawowego świadczenia lekarskiego, ale wręcz o

traktowanie osób (w tym wypadku kobiet, domagających się aborcji) ze szczególnym okrucieństwem, bo taką kwalifikację w międzynarodowych trybunałach otrzymują wykroczenia przeciw prawom człowieka. Przed prawnymi konsekwencjami chroniło przeciwników aborcji do tej pory prawo do wolności sumienia wraz z prawem do sprzeciwu ze względu na sumienie. Zgodnie z raportem Maticia prawo to musi ustąpić rzekomemu prawu kobiety do aborcji. Oznacza to, że podstawowa zasada godności każdej istoty ludzkiej i równości wszystkich wobec prawa zostają złamane: nie tylko wolno w majestacie prawa uśmiercić drugiego człowieka, ale decyzja o skazaniu kogoś na śmierć jest tu pozostawiona jednostce jako jej indywidualne uprawnienie. Nie wolno natomiast sprzeciwiać się takiemu uprawnieniu i trzeba zapewnić jego wykonanie każdemu, kto się tego domaga.

Nawet jeżeli rezolucje Parlamentu Europejskiego nie mają mocy wiążącej dla państw członkowskich, to jednak tworzą atmosferę, i to nie tylko społeczną, ale także prawną. Mogą też być – i są – intensywnie wykorzystywane medialnie przez środowiska proaborcyjne. Tytuły doniesień mówią same za siebie: „Aborcja prawem człowieka”.

W fakcie tego kolejnego zamachu na fundamentalne wartości jest jednak coś, co może przynieść pozytywne skutki. Ofensywa lewicowych postulatów zmierza coraz intensywniej do niemalże natychmiastowego wprowadzenia w życie fundamentalnych zmian, dotyczących stosunku do wartości podstawowych, prawa i porządku społecznego. Fakt, że te głębokie zmiany zachodzą tak szybko, pozwala osobom myślącym dostrzec, że na ich oczach i bez ich zgody konstruowany jest totalitarny gorset, w który są wtlaczane coraz to nowe uprawnienia, jakich domagają się różne mniejszości i grupy nacisku. Podobne zmiany, chociaż w ograniczonym stopniu, zachodziły wprawdzie również w przeszłości. Potrzebowały jednak dziesięcioleci, przez co nie dokonywały się w ramach jednego pokolenia i umykały uwadze społeczeństwa. Kolejna generacja, która była od dzieciństwa przyzwyczajana do odmiennego sposobu myślenia i wartościowania, wprowadzała je niemalże bezwolnie jako wyraz dokonującego się postępu. Jeżeli jednak tak znaczące zmiany zachodzą w czasie jednego pokolenia, ludzie mają przynajmniej szansę dostrzec, że tzw. postęp nie zachodzi nieuchronnie, niezależnie od ludzkiej woli, ale jest konstruowany i wprowadzany miękko (na razie) siłą przez rezolucje i odezwy, szantaż finansowy i prawny wobec jednostek i całych państw, a ostatecznie przez nową legislację. Stąd też jasny i jednoznaczny sprzeciw wobec prób skonstruowania nowego wspaniałego świata „miękkiego” totalitaryzmu jest potrzebą chwili.

Sierpień 2021

Stróżowie Tradycji

Traditionis custodes – tak właśnie nazywa się ogłoszony 16 lipca 2021 list apostolski papieża Franciszka dotyczący celebracji Mszy św. według rytu trydenckiego, obowiązującego aż do wprowadzenia soborowej reformy liturgicznej. Zawarte w nim decyzje papieża są efektem ponad rocznych konsultacji przeprowadzonych przez Kongregację Nauki Wiary, które dotyczyły nieprawidłowości w korzystaniu z daleko idącej zgody na sprawowanie Eucharystii w rycie trydenckim udzielonej przez Benedykta XVI. W dokumencie tym Franciszek stwierdza, że księgi liturgiczne ogłoszone po Soborze Watykańskim II są „jedynym wyrazem *lex orandi* rytu rzymskiego”. Celebrowanie Eucharystii według rytu trydenckiego jest nadal możliwe w wyznaczonych przez biskupa miejscach (jednak nie w kościołach parafialnych) i ustalonym przez niego czasie. Kapłani, którzy pragną sprawować Eucharystię w tym rycie, muszą uzyskać pozwolenie swojego biskupa. Biskup powinien ponadto upewnić się, że grupy wiernych, które pielęgnują pobożność w rycie trydenckim, nie odrzucają reformy liturgicznej Soboru Watykańskiego II oraz magisterium ostatnich papieży.

Wraz z tym dokumentem został także opublikowany list do biskupów, w którym papież wyjaśnił powody podjętych decyzji. Pozwolenia udzielone przez Jana Pawła II i Benedykta XVI na sprawowanie Eucharystii według rytu trydenckiego były nierzadko, jak stwierdza Franciszek, nadużywane, a przekonanie tych papieży, że nie naruszają one jedności kościelnej, a wręcz ją umocnią – lekceważone i wykorzystywane „do powiększenia dystansów, zaostreżenia różnic i budowania przeciwieństw, które ranią Kościół i hamują jego postęp, narażając go na ryzyko podziałów”. Franciszek wyraża jednocześnie swoją dezaprobatę także wobec nadużyć w sprawowaniu nowej posoborowej liturgii, wyrażających się w dziwacznej kreatywności, prowadzącej do jej deformacji.

Decyzja papieża Franciszka dotknęła boleśnie osoby i grupy, które nauczyły się cenić i kochać przedsoborową liturgię i w oparciu o uczestnictwo w niej budowały swoją duchowość. Paradoksalnie są one szczególnie liczne w tych krajach, w których Kościół dawno już przestał odgrywać ważną rolę społeczną, a kościelna codzienność jest naznaczona zeświecczeniem i

rozpadem dawnych struktur i tradycji. Wiele młodych osób nauczyło się na nowo cenić liturgię właśnie przez kontakt z rytmem trydenckim. Jego ograniczenie spowodowało nową falę nastrojów antypapieskich w kręgach tradycjonalistów. Trzeba przyznać, że niektóre z podnoszonych zarzutów nie są całkowicie pozbawione racji. Krytyczne głosy pytają na przykład, jak ma się to drastyczne ograniczenie tradycyjnej liturgii do jednoczesnego otwarcia papieża Franciszka na próby inkulturacji liturgicznej dokonującej się w niektórych regionach świata, np. w Amazonii? Skąd taka surowość wobec dawnych, nigdy nie zakazanych form liturgicznych, jakby stanowiły one główne zagrożenie eklezjalne w obecnym czasie? Pytania te nabierają szczególnej ostrości wobec faktu, że w innych kontekstach dokonuje się daleko idąca decentralizacja Kościoła, czego wyrazem jest np. projekt rozwoju kościelnych struktur synodalnych.

Mimo tych krytycznych pytań, trzeba jednak dostrzec także te aspekty, które przemawiają za podjętą przez papieża decyzją. Komu dane było uczestniczyć w liturgii trydenckiej przed wprowadzeniem soborowej reformy, ten wie, że jej praktyczna, a więc także doświadczana przez wiernych forma zależała – jak to zresztą ma miejsce także w obecnie obowiązującej liturgii – nie od samego rytu, ale od staranności i uwagi celebransa. Porównywanie wypaczeń i niedbalstwa w posoborowej liturgii sprawowanej w szeregowych parafiach ze starannością i podniosłością liturgii trydenckiej w wybranych miejscach, gdzie zbierają się jej zwolennicy z całego regionu i gdzie dodatkowo towarzyszy jej śpiew gregoriański, jest mało przekonujące.

Soborowa reforma liturgiczna została wprowadzona ze względu na to, by liturgia stała się bardziej zrozumiała i czytelna i by uczestnictwo w niej nie było naznaczone jakąś dziwną podwójnością. W praktyce przedsoborowej liturgii akcja liturgiczna stanowiła często jedynie tło dla praktyk indywidualnej pobożności: podczas gdy celebrans sprawował święte czynności, wierni odmawiali inne modlitwy, różaniec lub śpiewali pieśni. Osobom, szczególnie młodym, które dzisiaj nauczyły się rozumieć mowę znaków i symboli oraz głębię liturgii trydenckiej, trzeba zadać krytyczne pytanie, czy wcześniej dołożyły starań, by posiłąć wiedzę o znaczeniu posoborowej liturgii, która w podniosłości i wymowie znaków w niczym nie ustępuje tej dawnej. Używane w niej teksty, szczególnie modlitwy eucharystyczne, stanowią nierzadko tłumaczenia starożytnych tekstów liturgicznych, a Pierwsza Modlitwa Eucharystyczna jest po prostu tym samym Kanonem Rzymskim, który jest odmawiany w j. łacińskim w ramach liturgii trydenckiej.

Najpoważniejszy argument przemawiający za podjętą przez papieża Franciszka decyzją dotyczy jednak jedności Kościoła. Otóż u wielu katolików, którzy zaczęli na nowo pielęgnować dawną liturgię, zatarła się różnica między liturgią katolicką a liturgią schizmatycką. Chodzi oczywiście o celebracje sprawowane przez członków Bractwa Kapłańskiego Świętego Piusa X, czyli tzw. lefebrystów. To stowarzyszenie życia apostołskiego zostało suspendowane w wyniku odrzucenia przez jego członków reform Soboru Watykańskiego II, szczególnie reformy liturgii. Odrzucenie postanowień soborowych, a szczególnie wyświęcenie w 1988 r. przez abpa Marcela Lefebvra bez zgody Stolicy Apostolskiej czterech biskupów, sprawiło, że lefebryści odłączyli się od jedności kościelnej. Część tradycjonalistów, którym zależało na jedności z Kościołem katolickim, stworzyło po suspendowaniu w 1988 r. abpa Lefebvra inne bractwo – Bractwo Kapłańskie św. Piotra, którego członkowie, pielęgnują także dawną liturgię, nie odrzucają jednak reformy soborowej oraz nauczania ostatnich papieży. Swoją misję sprawują więc w pełnej jedności ze Stolicą Apostolską i biskupem miejsca.

Biorąc pod uwagę to, że sposób sprawowania liturgii trydenckiej w obydwu grupach jest podobny, wielu wiernych nie zwraca uwagi na dzielące ich istotne różnice. Nierzadko wraz z uczestnictwem w sprawowanej przez lefebrystów liturgii, pod wpływem propagowanego tam nauczania i lektury wierni nabierają dystansu i niechęci do Magisterium ostatnich papieży i całej reformy soborowej, a więc wchodzą na drogę prowadzącą do odłączenia się od jedności z Kościołem katolickim. Jak mawiał Jan Paweł II, Kościół żyje z Eucharystii. Stąd okoliczność ta jest poważna i trudno się dziwić, że papież Franciszek poczuł się zmuszony do działania.

Wrzesień 2021

Opiłowywanie katolików

Campus Polska Przyszłości był pomyślany jako swego rodzaju szkoła letnia przeznaczona dla młodych liderów i aktywistów, stąd zapewne wybrano jako miejsce odbywającej się w dniach od 27 sierpnia do 2 września 2021 r. imprezy rozległy obszar Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. To jeden z najładniejszych i najrozleglejszych kampusów uniwersyteckich w Polsce. Na jego terenie znajdują się nie tylko sale wykładowe różnej wielkości oraz akademiki, w których można w czasie wakacyjnym

przyjąć gości, przestrzenie spacerowe oraz rozległe obszary zielone, na których można ustawić tymczasowe hale, ale także stadion i jezioro wraz z infrastrukturą wypoczynkową. Zazwyczaj jednak szkoła letnia kojarzy się z transferem i popularyzacją wiedzy na wybrany naukowy temat, co byłoby zgodne z dawną ideą akademii. Wszak miała ona być wspólnoty uczących i uczonych i stanowić coś w rodzaju tygla, w którym ścierają się ze sobą różne idee. W tym wypadku jednak, chociaż organizatorzy podkreślali, że Campus Polska Przyszłości nie był organizowany przez żadną partię polityczną, trudno było widzieć go inaczej, jak tylko jako propagandową imprezę obecnej politycznej opozycji. Jej organizatorami oraz gośćmi byli wyłącznie politycy opozycji, w tym jej liderzy, lub też osoby związane z opozycją z obszaru nauki, kultury, polityki oraz mediów. Zaproszono także gości zagranicznych, jednak wyłącznie takich, którzy sympatyzują z aktualną polską opozycją. Niektóre tematy paneli dyskusyjnych i warsztatów nie pozostawiały wątpliwości, że chodziło o szkolenie i integrowanie tej części młodzieży studenckiej, która może włączyć się w antyrządową propagandę.

Do obszarów, którym obecna opozycja poświęca wiele uwagi, należy rola Kościoła katolickiego w życiu społecznym. Zgodnie z lewicową agendą, która zaczyna w tych środowiskach dominować, Kościół katolicki musi zostać wyrugowany z życia publicznego lub też tak „udomowiony”, by ograniczył się jedynie do sfery i spraw czysto religijnych, do uświetniania uroczystości i tworzenia podniosłej, religijnej atmosfery. Nie wolno mu natomiast zgłaszać ani promować żadnych postulatów, które mogłyby wpływać na debatę społeczną i były zgodne z chrześcijańskim obrazem człowieka i chrześcijańską wizją życia społecznego,.

W tym kontekście trzeba rozumieć słynne już słowa posła Platformy Obywatelskiej, Sławomira Nitrasa, wypowiedziane podczas jednej z debat. Są one o tyle godne uwagi, że wyraził on stanowisko lansowane od lat w lewicowych mediach. Stwierdził, że należy odpiłować katolików od pewnych przywilejów. Jak podkreślał, Kościół zajmuje zbyt wiele miejsca w przestrzeni społecznej. Wypowiedź posła Nitrasa została skrytykowana, nawet w szeregach jego partyjnych i ideowych towarzyszy, on jednak nie dostrzegł w niej niczego niestosownego. Jak podkreślił, problemem są nie tylko kwestie finansowe, ale przede wszystkim brak zgody Kościoła na typowo lewicowe postulaty, jak np. prawo do aborcji, czy też do zawierania małżeństw jedнопłciowych. Nitras twierdzi, że prawo w Polsce jest kształtowane „pod wyobrażenie doktryny Kościoła katolickiego” i że generalnie „Kościół katolicki ma nadmierny wpływ na nasze życie”. Jako kiepski dowcip trzeba uznać stwierdzenie

Nitrasa, że jest chrześcijaninem, ale nie chodzi do Kościoła. Stwierdzenie to obnaża ten rodzaj fasadowego chrześcijaństwa, które w praktyce jest równoznaczne z postawą agnostyczną lub ateistyczną. Wszystkie te postawy podzielają przecież wspólne przekonanie, że wiara religijna nie może i nie powinna wpływać na życie. Może taki pogląd jest prawdziwy w przypadku innych religii, ale na pewno nie w odniesieniu do wiary chrześcijańskiej.

Warto zapytać, na jakim wyobrażeniu Kościoła bazują tego rodzaju wypowiedzi? Czy gdyby Kościół był jedynie organizacją złożoną z duchownych stojącą niejako naprzeciw społeczeństwu, miałby w ogóle jakiś wpływ na życie społeczne? Osoby, które mają taką wizję Kościoła, zdają się nie dostrzegać, że Kościół może mieć wpływ na debatę publiczną jedynie dlatego, że składa się on z rzesz ludzi wierzących, którzy – właśnie jako wierzący! – chcą i mają prawo uczestniczyć w kształtowaniu prawa i polityki. Jako wierzący mają prawo być wybierani do sejmu i senatu, jako wierzący mają prawo działać w samorządach i właśnie jako wierzący mają prawo popierać pewne postulaty, a sprzeciwiać się innym, poddając się demokratycznym procedurom. Zaprzeczenie temu prawu byłoby równoznaczne ze stwierdzeniem, że wprowadzie socjaliści, feministki, zwolennicy społeczności LGBT, zwolennicy walki z globalnym ociepleniem, wegetarianie i wszyscy inni mają prawo otwarcie promować swój światopogląd i tak też głosować we wszelkiego rodzaju głosowaniach, tylko katolikom jest to zabronione. Oni muszą w przestrzeni publicznej wyrzec się swoich przekonań dotyczących wartości życia, ochrony rodziny i kształtu życia społecznego, podczas gdy innym wolno promować idee całkowicie odmienne. Jakoś nie słychać protestów, że jakaś grupa promująca skrajnie lewicowe poglądy, zamierza narzucić całemu społeczeństwu swój światopogląd. Wystarczy jednak, że jakiś postulat zgłaszają katolicy, natychmiast taki zarzut bywa głośno wyrażany. Poseł Nitras bezwiednie powiedział prawdę: w wizji Polski przyszłości, promowanej na olsztyńskiej imprezie, chodziło o opiółowanie katolików, a więc osób wierzących, nie tylko z ich domniemanych przywilejów, ale także z przysługujących im praw.

Problem leży jednak nie tylko w takiej wizji przyszłości, ale w samej koncepcji dyskursu publicznego skoncentrowanego jedynie wokół wpływów i dominacji jednych nad drugimi. Czy w debacie społecznej nie powinno chodzić o coś zupełnie innego? O najlepszy pomysł na kształtowanie życia społecznego, niezależnie skąd by pochodził? O decyzje, które nie tylko na krótką metę przysparzają wyborców, ale także długofalowo przyczyniają się do dobrostanu obywateli? Kto jednak dzisiaj patrzy na politykę jaką na wspólną troskę o *polis* – o

społeczeństwo, a w nim o każdego obywatela, który potrzebuje życia społecznego, by mógł się rozwijać, a jednocześnie poprzez swój rozwój przyczynia się do dobrostanu społeczeństwa?

Październik 2021

Jesienna zaduma

Październik w Polsce to czas, w którym jesień mocno już zaznacza swoje panowanie. Przebarwione liście zachwycają, szczególnie w słoneczne dni, kiedy świat robi się bajecznie kolorowy. Jednak po pierwszych przymrozkach liście szybko opadają, pozostawiając nagie gałęzie drzew. Jest to z jednej strony czas nadciągającej jesiennej szarugi – mrocznych, mglistych i nasyconych zimną wilgocą dni. Czas, w którym człowiek niemal intuicyjnie chowa się w ciepłe domu, a przysłowiowa filiżanka gorącej herbaty staje się niemalże nieodłącznym towarzyszem. Ale październik to także czas zbierania owoców, które nieraz dopiero teraz osiągają swoją pełną dojrzałość, a co za tym idzie – także pożądany wygląd, zapach i smak.

Jesienne nastroje i dojrzałe owoce... To jest inspiracja, za którą pobiegły moje myśli, kiedy zastanawiałem się, jaki ma być październikowy temat miesiąca w tym roku. Owoc pojawia się dopiero w wyniku długiego procesu, który od samego początku nie jest pozbawiony zagrożeń: wiosenne przymrozki, które potrafią uszkodzić, a czasem nawet zniszczyć kwiaty, letnie susze lub nadmierne deszcze, które potrafią opóźnić, a nawet zniweczyć proces kształtowania się owoców, choroby lub pasożyty, które mogą zniszczyć owoc, zanim dojrzeje. Mimo tych zagrożeń rośliny mają swoją naturalną odporność i taktykę radzenia sobie z tymi wyzwaniami i w wielu przypadkach proces dojrzewania kończy się ostatecznie sukcesem i prowadzi do powstania owocu. Ale jednocześnie dojrzewanie owocu oznacza jakby ostatni akt życia rośliny, po której pogrąża się ona w letargu, w czymś w rodzaju śmierci. Liście opadają, życie zastyga, cała witalność zdaje się obumierać. Ponure jesienne nastroje, pochmurne, ciemne dni i chłód jeszcze bardziej pogłębiają to wrażenie śmierci.

Cała ta jesienna refleksja może stać się swego rodzaju „przypowieścią” o duchowym losie człowieka. Jesień, która nie tylko kojarzy się właśnie z zadumą i jest czasem, w którym ponury nastrój, a nawet depresyjne stany częściej nawiedzają ludzi, może być jednak także czasem, w którym człowiek intensywniej przypatruje się swojej duchowej kondycji.

Rytm przyrody ma wiele wspólnego z życiem duchowym. Jeżeli tylko człowiek stara się żyć świadomie i świadomie kształtować swoje wnętrze, będzie przeżywał bardzo różne stany ducha. Szczególnie na początku duchowej drogi będzie dominowało głębokie doświadczenie radości, podobne do tej ferii kolorowych, cudownie przebarwionych i lśniących w słońcu liści. Nie na darmo Biblia mówi o Bogu jako o tym, który nawiedza nas jak „z wysoka Wschodzące Słońce, by światłem stać się dla tych, co w mroku i cieniu śmierci mieszkają, aby nasze kroki skierować na drogę pokoju” (Łk 1, 78-79). Praktyka codziennej modlitwy jest wtedy czymś oczywistym, wspinałym czasem spotkania z kochającym Bogiem i dlatego człowiek ma wrażenie, że sprężystym krokiem ku Niemu podąża. Jednak bywają też dni pełne duchowych mgieł, a nawet duchowo ponure, jak jesienna szaruga. W takich czasach nie wolno pozwolić, by ten owoc, który w człowieku dojrzewa, został zniszczony. Jedną z najważniejszych cnót w życiu duchowym jest postawa, którą można by nazwać świętym uporem. Człowiek zaczyna duchowo dojrzewać jedynie wtedy, gdy uniezależnia swoją praktykę duchową od chwilowych nastrojów, od zewnętrznych i wewnętrznych pogód i niepogód. Ten święty upór stanowi skuteczny środek chroniący od wszelkich toksyn i czynników zaburzających duchowy rozwój.

Czasem przychodzą wielkie próby, podobne do ostrej duchowej zimy, gdy człowiek jakby wchodził w obszar w śmierci. Są to momenty, w których prawdziwe stają się słowa św. Pawła dotyczące konsekwencji chrztu: „Umarliście bowiem i wasze życie jest ukryte z Chrystusem w Bogu” (Kol 3,3). Pojawia się wtedy bardzo sugestywna pokusa, że wiara umarła; że była wprawdzie na początku czymś radosnym i pociągającym, ale potem zmniejszała się, aż w końcu bezpowrotnie zgasła; wypaliła się. I dlatego trzeba ostatecznie opuścić to złudzenie i przejść do świata mniej skomplikowanego, jak się na początku wydaje – wiecznie zielonego i słonecznego, w którym już nikt się takimi bzdurami jako wiara w Boga nie zajmuje. Jeżeli człowiek ulegnie tej pokusie, jego rozwój duchowy zatrzymuje się, marnieje lub wyradza się i zaczyna przyjmować dziwaczne kształty.

Jak istnieją pory roku i prawa natury, na które nie mamy wpływu, tak samo istnieją prawa rozwoju duchowego, które nie zostały ustalone przez człowieka. W obszarze języka angielskiego nadano im nieco mylącą, ale w sumie trafną nazwę „spiritual physics” – „duchowa fizyka”. Każdy, kto poważnie angażuje się w swój duchowy rozwój, będzie doświadczał na różnych etapach swojego życia tego duchowego falowania, tych duchowych pór roku, których cechą są różne nastroje i wewnętrzne odczucia. Kto nie chce zgodzić się na to, że w życiu duchowym, obok wspinałych słonecznych dni, są także czasy słoty, mgieł, chłodu i pozornej

śmierci, nie będzie się w stanie rozwijać. I tak różne nastroje i odczucia, jakie ogarniają człowieka w jesienne dni, mogą przypomnieć mu o czymś o wiele głębszym, od czego ostatecznie zależy jego los.

Listopad 2021

Europa skręca w stronę eutanazji

W styczniu 2021 r. portugalski parlament uchwalił po raz pierwszy ustawę o legalizacji medycznie wspomaganego samobójstwa. Została ona jednak przez prezydenta Portugalii skierowana do tamtejszego Trybunału Konstytucyjnego, który stwierdził, że w kilku punktach jest niezgodna z portugalską konstytucją. Na początku listopada 2021, po dokonaniu poprawek, ustawa została uchwalona po raz drugi. Zgodnie z nią skrajne cierpienie oraz nieodwracalne zmiany spowodowane chorobą mogą stanowić podstawę do tego, by prosić o pomoc w dokonaniu samobójstwa. Komisja lekarska ma stwierdzić, czy prośba pacjenta została wyrażona w sposób wolny i świadomy, a w razie wątpliwości zasięgnąć opinii psychiatry.

W podobny sposób zostanie wkrótce zmodyfikowane prawo w Austrii. Krok ten jest o tyle znaczący, że w krajach języka niemieckiego sprzeciw wobec wszelkich form eutanazji był w okresie powojennym bardzo mocny. Szczególnie w tym obszarze żywa była jeszcze świadomość skutków hitlerowskiej „Akcji T4” (nazwa pochodzi od adresu centrali planującej i koordynującej akcję – Tiergartenstrasse 4 w Berlinie), w wyniku której w czasie II wojny światowej uśmiercono dziesiątki tysięcy pensjonariuszy zakładów dla psychicznie chorych i upośledzonych, co uzasadniano twierdzeniem, że były to „egzystencje balastowe”, życie niegodne kontynuacji. Świadomość ta jednak z biegiem lat przygasła i ustąpił miejsca przekonaniu o nieskrępowanej wolności jednostki, która nie tylko kieruje własnym życiem, ale także określa okoliczności własnej śmierci.

W grudniu 2020 roku austriacki Trybunał Konstytucyjny orzekł, że całkowity zakaz pomocy w samobójstwie jest niezgodny z austriacką konstytucją. Zgodnie z wykładnią trybunału, w ramach szacunku dla autonomii jednostki należy także respektować prawo do godnej śmierci, co – według orzeczenia – oznacza także prawo do wyrażenia prośby o pomoc

w samobójstwie. Po orzeczeniu trybunału zaczęto przygotowywać ustawę o legalizacji na terenie Austrii medycznie wspomaganego samobójstwa. Miałoby ono być możliwe jedynie w przypadku cierpienia fizycznego, a prośba o pomoc w uśmierceniu musiałaby być podpisana przez proszącego pacjenta. Paradoksalnie nad tą ustawą pracują także obrońcy życia, gdyż jeżeli nie zostanie ona uchwalona do końca 2021 roku, to zgodnie z orzeczeniem trybunału wspomagane samobójstwo stanie się legalne bez żadnych ograniczeń. Przeciwnicy eutanazji próbują wprowadzić do nowego prawa ograniczenia, które korygują skrajnie indywidualistyczne i abstrakcyjne pojęcie autonomii, na jakie w uzasadnieniu swojego wyroku powołał się trybunał. Nie bierze ono pod uwagę tego, że w ogromnej większości przypadków prośba o śmierć jest krzykiem pacjenta o pomoc w poradzeniu sobie z zaistniałą sytuacją, skutkiem osamotnienia i wyniszczenia chorobą. Ograniczeniu dostępu do medycznie wspomaganego samobójstwa mają także służyć dodatkowe kryteria oraz czas, jaki musi upłynąć od wyrażenia prośby o pomoc w samobójstwie do jej spełnienia. Nie zmienia to jednak faktu, że nowe ustawodawstwo zrywa z tradycją ochrony niewinnego życia ludzkiego przez państwo. Zostaje w ten sposób otwarta droga, której zwieńczeniem jest legalizacja aktywnej eutanazji.

Już od lat medycznie wspomagane samobójstwo jest legalne w Szwajcarii, a od niedawna także w Niemczech. Nie oznacza to wprowadzenia jeszcze oficjalnej legalizacji aktywnej eutanazji, jednak ta jest logiczną konsekwencją stwierdzenia, że życie niewinnego człowieka nie jest wartością nienaruszalną. Skoro medyczna pomoc w dokonaniu samobójstwa jest traktowana jako element prawa człowieka do samostanowienia oraz jako dobrodziejstwo, którego nie wolno odmawiać proszącym, to dlaczego mają z niego korzystać jedynie cierpiący na dolegliwości fizyczne? Co z psychicznie nieuleczalnie chorymi i nieprzytomnymi? Dlaczego - zgodnie z nową logiką - odmawiać im czegoś, co zostało uznane za dobrodziejstwo? A co z tymi, którzy proszą o śmierć, ale sami nie potrafią jej sobie zadać? Taki problematyczny rozwój ustawodawstwa można obserwować w tych krajach europejskich, które zalegalizowały aktywną eutanazję: w Holandii, Belgii i Luksemburgu. Początkowo była ona dostępna jedynie dla doświadczających nie dającego się uśmierzyć cielesnego bólu. W kolejnych latach rozszerzono ją także na cierpiących psychicznie oraz chorych na choroby neurodegeneracyjne (np. chorobę Alzheimera). W końcu zaczęto obniżać granicę wieku i dopuszczono ją również w przypadku osób nieletnich. W ten sposób odpowiedzią na dramat zbliżającej się śmierci ze strony państwa, którego zadaniem jest ochrona życia i godności każdego obywatela, nie jest

już solidarność i troska o zapewnienie odpowiednich warunków oraz o obecność i fachowe wsparcie, ale pomoc w bezbolesnym i bezproblemowym dokonaniu samobójstwa. Legalizacja medycznie wspomaganego samobójstwa doprowadzi niewątpliwie do zmiany mentalności społecznej. Skoro czyn ten zostanie uznany za zgodny z prawem, w mentalności społecznej zostanie on uznany także za moralnie dopuszczalny. Teraz to osoby, które będąc w sytuacji podobnej do samobójców, nie będą jednak chciały sięgnąć po ten krok, będą zmuszone do uzasadnienia takiej postawy, co może stać się źródłem nacisku na i tak już przez chorobę wyniszczonych pacjentów.

Dają do myślenia słowa arcybiskupa Franza Lacknera, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Austrii. W imieniu całego episkopatu wyraził on stanowczy sprzeciw wobec orzeczenia trybunału i prac legislacyjnych nad uchwaleniem ustawy o wspomaganym samobójstwie. Zmiana prawa może oznaczać, że prawo do zapewnienia takiej „usługi” będzie wymagane także w szpitalach prowadzonych przez zakony i inne organizacje katolickie wbrew sumieniu pracujących tam lekarzy i pielęgniarek. Jak stwierdził abp Lackner, „Czujemy, że powróciliśmy do czasów, kiedy został napisany List do Diogneta, w którym wymienione są rzeczy, których chrześcijanie nie robią. Mam więc nadzieję i modłę się o to, że pewnego dnia będziemy mogli powiedzieć: my chrześcijanie tego nie zrobimy!”

Grudzień 2021

Unijna nowomowa

W listopadzie 2021 podano do wiadomości publicznej przygotowane przez Komisję Europejską wewnętrzne wytyczne, jak to określono, „komunikacji inkluzywnej”. Dotyczą one m.in. zwrotów używanych dotychczas powszechnie w relacjach międzyosobowych. Jak twierdzą ich autorzy, nie powinno się zakładać, że wszyscy ludzie identyfikują się z własną płcią biologiczną. Dlatego za obraźliwe może być uznane mówienie o „oby płciach”, ale także używanie w wystąpieniach publicznych frazy „panie i panowie”. Może to sprawiać, że osoby interpłciowe oraz określające siebie same jako queer stają się w przestrzeni publicznej poniekąd niewidzialne. Za obraźliwe może być uznane także np. określenie homoseksualista. W oficjalnych formularzach powinna zostać dodana dodatkowa rubryka dla tych, którzy nie

mieszczą się w kategoriach płci męskiej czy żeńskiej. W przypadku nagłówków oficjalnych pism, gdy nie ma pewności co do tożsamości płciowej adresata, należy – obok form Mr (*mister* – pan) oraz Ms (*miss* – pani) – używać skrótu Mx. Aby nie dyskryminować imigrantów i osób bez przynależności państwowej, powinno się unikać słowa „obywatel”. Nie należy także używać określeń typowych dla danej religii. Należą do nich np. takie zestawienia imion jak „Maria i Jan”, które powinny zostać zastąpione imionami „Malika i Juliusz”. W odniesieniu do świąt chrześcijańskich dokument proponuje zamianę wyrażenia „Boże Narodzenie” na „okres świąteczny”.

Dla przeciętnego mieszkańca Europy brzmi to nie tylko kuriozalnie, ale wręcz kabaretowo, gdyż oznacza udziwnienie i wykrzywienie intuicyjnego języka, jakim ludzie posługują się od niepamiętnych czasów. Intuicje te nigdy nie miały na celu niczyjej dyskryminacji, ale dotyczyły podstawowego zwyczaju zwracania się do ludzi zgodnie z ich płcią biologiczną, a więc taką, jaka jest widoczna dla zewnętrznego obserwatora, a także odzwierciedlały dawne tradycje i zwyczaje związane z europejską kulturą. Trudno się więc dziwić, że wytyczne dotyczące komunikacji inkluzywnej spotkały się z ostrą krytyką. W odpowiedzi na nią unijna komisarz ds. równości, Helena Dalli, poinformowała o wycofaniu projektu do dalszego dopracowania.

Operacje na żywym języku są coraz częściej w ostatnich dziesięcioleciach lansowane przez europejskie i światowe elity. Do tych prób wymuszania zmian w obszarze codziennej komunikacji dobrze pasuje określenie „nowomowa”. Pojęcie to spopularyzował George Orwell w swojej opublikowanej w 1949 r. dystopii zatytułowanej *Rok 1984*. Dokonywanie zmian w zakresie języka stanowiło w jego wizji narzędzie umożliwiające zarządzanie świadomością ludzi w ramach totalitarnie zorganizowanego społeczeństwa. Zabieg ten polegał na eliminacji dotychczasowych, spontanicznych pojęć, opisujących rzeczywistość i opartych na intuicji członków społeczeństwa oraz wprowadzanie nowych, które już nie są pojęciami opisującymi rzeczywistość, ale mającymi ją dopiero wykreować, zgodnie z wyobrażeniami rządzących. Ostatecznym celem tych zabiegów było osiągnięcie takiego stanu, w którym nikt nie będzie mógł nawet pomyśleć o czymś, czego nie akceptują rządzący, bo nie będzie pojęć, które by to opisywały. Jednocześnie używanie nowych pojęć będzie równoznaczne z aktem zgody na nową, wykreowaną przez system rzeczywistość.

Symptomatyczne są obszary, których dotyczą zmiany językowe przedstawione w unijnych wytycznych „komunikacji inkluzywnej”. Z jednej strony dotyczą one genderowej wizji

płci, a więc ideologii, która od kilku dziesięcioleci jest intensywnie promowana nie tylko przez wiele środowisk akademickich i lewicujących organizacji pozarządowych, ale także przez ponadnarodowe i globalne instytucje, takie jak właśnie Unia Europejska czy też ONZ. Z drugiej strony zmiany mają uderzać w dawne chrześcijańskie tradycje, nazwy własne i święta, będące częścią samoświadomości i kultury wielu narodów. Uzasadnienie, że ich podtrzymywanie w przestrzeni publicznej może być uznane za obraźliwe i dyskryminujące przez inaczej wierzących, jest zupełnie pozbawione sensu. Obawa o dyskryminację nie jest przecież w ogóle wyrażana przez inaczej wierzących, ale pochodzi ze strony współczesnych ateistów, którzy zamierzają wyrugować wszelkie elementy religijne z przestrzeni publicznej i zepchnąć je do obszaru prywatnego.

W tle tych zabiegów można dostrzec charakterystyczne dla myśli postmodernistycznej przekonanie, że struktury i mentalność społeczna nie mają nic wspólnego z jakkolwiek rozumianą ludzką naturą, a są jedynie produktem dominującej narracji w przestrzeni publicznej. Jak się twierdzi, jeżeli tylko wystarczająco często i wystraszająco długo będzie się pojawiała w przestrzeni publicznej inna od dotychczasowej narracja, zmienią się także struktury społeczne i mentalność. Jeżeli jednak ani ludzka natura, ani wielowiekowa tradycja nie mają stanowić punktu odniesienia, to może nim być jedynie autorytet. W tym przypadku jest to samozwańczy autorytet elit, które zdają się zakładać, że lepiej niż szerokie rzesze społeczne wiedzą, jak ma być zorganizowane społeczeństwo i próbują wymusić realizację tej swojej wizji za pomocą operacji na żywym języku. Efektem może być tylko wykrzywienie komunikacji społecznej, której formy staną się po prostu coraz bardziej sztuczne i dziwaczne. Projekt unijnej nowomowy został ostro skrytykowany także przez papieża Franciszka. Papież użył przy tym określenia tego zamierzenia, które bardzo dobrze oddaje jego istotę: „Laicyzm rozpuszczony w wodzie destylowanej”.

Ks. Marian Machinek MSF